

Krzysztof Tyszka-Drozdowski: Agonia liberalizmu

Liberalna polityka emancypacji miała skończyć z absolutną prawdą w polityce, po drodze sama wyrodziła się w dogmat. W jego obronie usuwa się poza obręb dyskursu opinie, które mają prawo się artykułować, ale nie mogą, bo nie pasują do światopoglądu elit. Klasa polityczno-medialna dostrzega w tych próbach dojścia do głosu albo faszyzm, albo przejaw umyślowego zaburzenia – pisze Krzysztof Tyszka-Drozdowski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Résumé.

Liberalizm ginie. I dobrze. To przeżytek XIX wieku, ideologia, która, podobnie jak socjalizm, woli oślepnąć niż stawić czoła rzeczywistości. Jej wyznawcy nadal łudzą się, że Wielka Brytania nie opuści Unii Europejskiej, a Trump nie zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych. Liberalizm, wypłukany ze swoich wartości, ocaliwszy jedynie składnik ekonomiczny bez związku z resztą doktryny, odejdzie jako historyczny rekwizyt. Niektórzy historycy będą nazywać ostatnią dekadę okresem kryzysu liberalizmu. Każdy kryzys rodzi nowy świat i na krawędzi – pomiędzy jedną płytą tektoniczną a drugą – spróbuję zapisać, co wstrząsy zniszczyły, a jakie formy przebudziły do życia.

Branko Milanovic w *Global Inequality: a New Approach for the Age of Globalization* przedstawia wyniki swoich badań prowadzonych przez ostatnie dziesięciolecie. Zauważa, że globalne dysproporcje zmniejszają się. Gdy jednak przyjrzeć się zachodnim społeczeństwom,

te nierówności wzrastają. W Chinach powstała i rozwija się coraz silniejsza klasa średnia; w Europie i w Stanach ubożeje albo od dwudziestu lat tkwi w stagnacji. Globalizacja zaszkodziła Zachodowi, zaburzyła jego porządek, zmarnowała klasę średnią, klasę pracującą – zrujnowała, rywali spoza Europy – wzmocniła. Klasa średnia to ulubiony temat liberałów (i lewicy, bo lewica stopiła się z liberalizmem), na niej chcą budować wymarzoną, mądrą demokrację. Podpora tego oświeconego ustroju kruszy się; socjologowie (niestety, ale to najbardziej dyspozycyjny wobec panującej ideologii element) zaczęli więc wymyślać nowe pojęcia. Dzisiaj możemy więc mówić już nie tylko o klasie średniej wyższej i klasie średniej niższej, ale nawet o klasie średniej niższej-niższej. W imię zachowanie złudzenia, że wszystko jest po staremu. Liberałowie odwracają wzrok, gdy przemija postać świata.

Z chwilą, gdy liberalizm przestał być odróżnialny od lewicy, a lewicy nie można było znaleźć poza liberalizmem, polityka stała się, jak to ujął niedawno Mark Lilla, „polityką tożsamości”. Nie chodzi tu o tożsamość narodową przeciwstawioną podmywającym ją siłom rynku i globalizacji. To polityka emancypacji, polegająca na „wyzwalaniu” kolejnych mniejszości, na realizowaniu ich roszczeń. Gdy suma mniejszości nie pozwala utrzymać się przy władzy, nagle wyłania się „populizm”, pejoratywne określenie tych, którzy chcą skończyć z tyranią mniejszości.

Demokracja to rządy opinii. Technokraci są przekonani, że to wiedza powinna rządzić, mają wyborców za dzieci, nieświadome tego, co się wokół nich dzieje. Świat jest skomplikowany, mówią, oddajmy go w zarząd ekspertom, fachowcom, którzy faktycznie znają się na rzeczy. Postmodernistyczny liberalizm idzie dalej – wyborcy to idioci. Nie

wolno im udzielać głosu, chyba że chcą poprzeć nasz punkt widzenia. Na dodatek to groźni idioci, jeśli ich nie przypilnujemy, mogą wybrać Hitlera. To dziwne manichejskie napięcie – jeśli nie my, to Hitler (wszędzie gdzie liberalny establishment jest w niebezpieczeństwie, padają oskarżenia o faszyzm, od Stanów przez Węgry po Polskę) – to oznaka głębokiej choroby Zachodu. Sloterdijk mówił, że znajdujemy się w epoce posttraumatycznej. Elity odreagowują po drugiej wojnie światowej. Tylko nikt nie przeprowadził właściwej terapii, bo ci, którzy mieli ją prowadzić – leczyć i pouczać społeczeństwa – sami wpadli w histerię.

Populizm zwalcza się w imię pluralizmu. Nie dopuszczając jednak do głosu tych, których określa się mianem populistów, podważa się samą ideą pluralizmu. Zwalcza się go w imię demokracji. Wypychając poza debatę publiczną spory kawałek społeczeństwa, niszczy się samą demokrację. Najchętniej zdelegalizowano by partie nazywane populistycznymi, lecz nikt nie może tego zrobić, bo każdy wie, że właśnie wtedy demokracja przestałaby istnieć. Liberalna polityka emancypacji miała skończyć z absolutną prawdą w polityce, po drodze sama wyrodziła się w dogmat. W jego obronie usuwa się poza obręb dyskursu opinie, które mają prawo się artykułować, ale nie mogą, bo nie pasują do światopoglądu elit. Klasa polityczno-medialna dostrzega w tych próbach dojścia do głosu albo faszyzm, albo przejaw umysłowego zaburzenia. Krucjata przeciw populizmowi nie jest krucjatą przeciw demagogii; to krucjata przeciw części opinii publicznej, niezgodnej z artykułami wiary liberałów. Oszańcowane elity biją się, w swoim przeświadczeniu, o wszystko. Ich zdaniem kres ich hegemonii to kres demokracji w ogóle.

Tam, gdzie dyskurs emancypacyjny nie urósł w siłę, tam nie mamy do czynienia ze zjawiskiem populizmu. W Polsce, gdzie liberalizm był zawsze na marginesie, nie musimy wyglądać, co wyłoni się z za wirażu historii. Amerykanie albo Francuzi – oni nie wiedzą, co ich czeka. Nawet zwolennicy zmian po prostu nie są w stanie przewidzieć, co dalej się wydarzy. Jarosław Kaczyński uratował demokrację w Polsce. Uczciwi demokraci będą musieli – już pewnie w opracowaniach historycznych – uznać tę zasługę premiera Kaczyńskiego. Przeciwnicy demokracji będą zmuszeni uznać inną – Kaczyński zachował nas od chaosu.

Chantal Delsol, w znakomitej książce o populizmie, zwraca uwagę, że przeciwstawienie elity-lud jest powiązane z opozycją centrum-peryferie. Elity edukują wiecznie głupkowaty lud, aby ten nie wyrządził sobie i innym krzywdy, ale równolegle to Berlin, Paryż i Bruksela doglądają Warszawy czy Budapesztu. Stolicy Zachodu oświecają tych „nowych Europejczyków”, nauczają, jak się rządzić, aby w końcu wyjść z ciemnoty i dołączyć do ponowoczesnej Europy. Niekiedy trzeba Polaków albo Węgrów skarcić, gdy odżyją w nich jakieś ciemne instynkty, ale głównie – uczyć poprzez przykład. (Bardzo ciekawe, że Polacy, pomimo tylu afrontów ze strony Unii, pozostają najbardziej proeuropejskim krajem członkowskim; narodowcy, grający na urażony honor Polaków – przeliczyli się). Tradycjonalizm peryferii stawia opór liberalnej pedagogice. Zaskoczenie liberałów wynika z tego, że istnieją jeszcze ludzie, dla których jasne jest, co jest dobrem a co złem, a przywiązania do swojej ziemi i sposobów życia nie uznają za zbędny ciężar. I tych ludzi jest sporo, to milcząca większość, milcząca nawet przed socjologami. Sądząc po stanie załamania, w jakim znajduje się Europa, należy przyznać Delsol rację: kierunek historii wyznacza centrum, ale to peryferia zapierają się, aby całość nie runęła w przepaść.

Projekty polityczne liberałów nie zakładają peryferii. Nie bierze się ich w rachubę, czy to stawiając na innowacje (to znaczy: przymusową dezindustrializację), czy wprowadzając model „polaryzacyjno-dyfuzyjny”. Odpływ ludzi z peryferii wyjaławia prowincje; centra kulturowe tracą swój charakter, zalane wykorzeniony nieszczęśnikami, zaś populacje centrów zrywają ze swoim przywiązaniem i wyruszają w stronę światowych ośrodków. W ten sposób globalizacja zaciera lokalne i regionalne tożsamości, składające się na kulturę narodową i przesądzające o jej bogactwie.

Christophe Guilluy badał francuskich robotników i doszedł do wniosku, że ciężko o grupę społeczną bardziej odległą od ideałów liberalnej lewicy. Rozwód ludu i lewicy został więc przypieczętowany. Multikulturalizm, napływ taniej siły roboczej, a z drugiej strony zamykanie fabryk i przenoszenie ich do krajów rozwijających się, zagroziły ich istnieniu. Tradycyjne podziały polityczne we Francji – rolnicy konserwatywni, robotnicy lewicowi – przestały odpowiadać rzeczywistości. Wykluczeni z kosmopolitycznego projektu liberałów, domagają się teraz prawa głosu. Społeczeństwo sieci kończy się na peryferiach, tutaj trzeba znać ludzi osobiście, posiadać więzi, nie wystarcza internet; mobilność społeczna to przywilej wąskiej grupy. Francja, zdaniem Guilluy’ego, dzieli się, tworzą się klasowe i etniczne separatyzm, osłabiające kraj. W brawurowej wypowiedzi twierdzi, że multikulturalizm to stan ciągłej paranoi: biali boją się, że wyprą ich muzułmanie, muzułmanie obawiają się, że rasistowscy Francuzi chcą im zaszkodzić. Społeczeństwo otwarte oznacza permanentną wojnę domową.

Elity wypracowują rozwiązania, jednym z nich jest powrót do państwa opiekuńczego. Lud jednak wcale tego nie chce. Państwo opiekuńcze przestało zajmować się Francuzami czy Amerykanami, jego pomoc trafia w przeważającej mierze do imigrantów. Paradoks polega na tym, że najgorzej sytuowani stali się wrogami osłon socjalnych. Trump nie wygrał wyborów na hasłach zabezpieczeń społecznych, ale obiecując nowe miejsca pracy – bo lud chce pracować i godziwie zarabiać. Francja wykazuje zapóźnienie historyczne: w latach 80-tych, gdy tryumfowała Thatcher z Reaganem, Mitterand wzmacniał państwo i budował socjaldemokrację. Teraz, gdy Theresa May ogłosiła definitywny koniec epoki Thatcher, a doktryna Trumpa to protekcjonizm i dbanie o klasę pracującą, François Fillon chce postawić Francję na nogi zmniejszając podatki i zwalniając pół miliona pracowników sektora publicznego. Sam powiedział, że zamierza zostawić po sobie takie wspomnienie, jak Żelazna Dama, po czym musiał szybko wycofać się z tych oświadczeń, bo liberalizm we Francji ma o wiele gorszą markę niż w Polsce.

Lud opiera się elitom wybierając mocnego człowieka. Ten mocny człowiek chroni ich przed oligarchią, realizującą swój interes kosztem społeczeństwa. To historia stara jak świat: Juliusz Cezar, sam bogaty arystokrata, nawiązał sojusz z ludem przeciw rzymskiej oligarchii. Populizm oznacza polityczną mobilizację ludu jako zasobu politycznego. Nie można z góry ocenić go jako złego, to po prostu część tradycji politycznej starszej od liberalizmu. Przez wieki przybierał różne formy. Jedną z jego postaci był bonapartyzm, nowszym wcieleniem – gaullizm. Zakłada on zniesienie wszelkich zapośredniczeń pomiędzy głową państwa a narodem. Głowa państwa rozmawia z narodem dzięki referendum; referendum to jedno z narzędzi demokratycznych, których liberałowie boją się najbardziej. Ich nieufność wobec plebiscytu utrzymuje się od czasów Napoleona I i

Napoleona III, by spotęgować się w okresie rządów generała de Gaulle'a i w czasach najnowszych, gdy kolejne referenda europejskie i w końcu Brexit wytrąciły lejce historii z rąk liberalnych elit. Nowoczesna demokracja przetrwa jedynie w formie postmodernistycznego cezaryzmu albo nie będzie jej wcale. Nie jest to wymarzony ustrój tradycjonalisty. Tradycja jednak, jej część, tkwi nienaruszona w ludzie; prości ludzie, tylko oni zdrowo patrzą na świat, nie akceptując postmodernistycznych wybryków. Ocalić to, co się da, to zawołanie każdego konserwatysty. Ratuujmy, co się da, i przyglądajmy się rozwojowi wypadków.

Frenetyczny okres liberalizmu, kult mniejszości, dobiega końca. Aleksander Trzaska-Chrzęszczewski mówił o przypływach i odpływach demokracji. Fala przypływu charakteryzuje się tym, co Lilla nazwał polityką tożsamości: radykalny egalitaryzm i dążenie do emancypacji nie znają granic, nie zatrzymuje ich nawet zdrowy rozsądek. Chaos, rosnące niezadowolenie, niepewność stanowią rezultat przypływu demokracji, podczas którego wszyscy sądzą, że ich polityczne urojenia zostaną spełnione. Fala się cofa, odkrywa ruinę; okres odpływu odznacza się potrzebą ładu, lud chce poukładanego społeczeństwa i stabilności. U Trzaski-Chrzęszczewskiego historia zatacza krąg co kilka wieków. W XX wieku dzieje przyspieszyły, fluktuacje są gwałtowniejsze. Wchodzimy w okres odpływu.